ŁOWIEC POLSKI



Z polowania w Dawidgródczyznie: W drodze na pierwszy miot. Fot. St. hr. Zamoyski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 5 (889) 10 LUTEGO 1938 R.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Profesor Ignacy Mościcki, w stroju łowieckim. W klapie widnieje umieszczone na zielonej rozetce najwyższe odznaczenie łowieckie „Złom"; niżej na piersiach odznaki: Św. Huberta (spalska), Deutsche Jaegerschaft i Międzynarodowej Rady Łowieckiej (C. I. C.). Fotografja wykonana na specjalne zamówienie naszej redakcji. Fot. W. Pikiel.

PRZED BILANSEM — W PRZEDEDNIU PIĘTNASTOLECIA

Może tytuł powyższy wyda się komuś nadto „handlowy", jednakże sądzę, że dla uplastycznienia realnych wartości tych wszystkich zdobyczy łowiectwa polskiego, o jakie Polski Związek Łowiecki od blisko lat piętnastu zabiegał, długo i mozolnie nieraz trudząc się nad ich urzeczywistnieniem, a które ostatecznie osiągnął — wolno mi jest użyć takiego tytułu.

Może również zarzucić mi ktoś, że uprzedzam fakty, łącząc w tytule zbyt pośpiesznie różnorodne wartości, bowiem może niecałkowicie bilans ten jest zamknięty, a przybyć mogące w ostatniej niemal chwili pozycje mogą być wartościami największemi, sądzę jednak, że z dwóch względów temat ten jest na czasie:

1) abyśmy wszyscy uprzytomnili sobie i ześrodkowali myśli na tem, jaką wartość realną stanowią dotychczas osiągnięte zdobycze, następnie abyśmy konsekwentnie wytężyli usiłowania do osiągnięcia dalszych celów naszej ideowej organizacji, mającej łowiectwo polskie prowadzić wzwyż dalej;

2) abyśmy sobie zdali sprawę, że po szeregu lat, strawionych na szukaniu najwłaściwszych form organizacyjnych, zakończył się dopiero pierwszy rok reorganizacji w nowej, najbardziej życiowo ujętej strukturze Związku; że równocześnie jego władze kierownicze ostatecznie skonkretyzowały braki ustawodawcze naszego łowiectwa i że w tym również kierunku wszystko zostało należycie obmyślone, zaprojektowane, uzgodnione i przedstawione czynnikom decydującym o gospodarce Państwa.

Niepodobna się dziwić, że na wykonanie tego ogromu pracy, zapoczątkowanej od podstaw, jakby od fundamentów zawalonego niegdyś nagle gmachu, ludzie, ożywiani jedynie zamiłowaniem, rzetelnie pojętą pasją myśliwską i trwałem, upartem dążeniem do wprowadzenia polskiego łowiectwa na właściwe tory, na należny mu poziom kulturalny i gospodarczy — musieli zużyć tak stosunkowo długi okres czasu, o jakim świadczy zbliżające się piętnastolecie istnienia i działania

organizacji, które, ściśle biorąc, przypadnie 9 lipca 1938 r. (licząc od daty zebrania organizacyjnego ówczesnego Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich).



Obchód kniei. Fot. St. Zdan Michajłowicz.

Przeszkody, jakie ci ludzie napotykali, trudności, jakie musieli zwalczać, mówią same za siebie. Dość wspomnieć o pokutującem w pewnych sferach i mózgach — niestety do dziś jeszcze — przeświadczeniu, że myślistwo stanowi wyłącznie: zabawę, kosztowny sport, który może przynieść jedynie zadowolenie wewnętrzne jednostkom, raczej zaspokojenie ich snobistycznych ambicyj, natomiast ogółowi społeczeństwa bardzo wątpliwe korzyści realne. Ten bodaj kardynalny błąd w ustosunkowaniu się szerokich sfer społecznych był źródłem wszelkich nieporozumień i wszelkich niepowodzeń, jakie od samego początku napotykało na swej drodze organizujące się rzeczowo łowiectwo w niepodległem Państwie Polskiem.

Drugim — równie może silnie w organizację łowiectwa godzącym, był błąd, tkwiący w nas samych, myśliwych: lenistwa i lekkomyślnego braku zastanowienia nad istotną treścią sprawy, którą zbyt wielu dotykało faktycznie tylko z punktu widzenia egoistycznego, ba, nawet ekskluzywnego.

W tych dwóch przejawach występująca ignorancja przyczyniła się, że, mając może największe w Europie możliwości, które powinny były zdecydować odrazu o właściwem postawieniu gospodarki łowieckiej na całym obszarze kraju, plasując nas w pierwszych szeregach myśliwych świata, trwaliśmy rozstrzeleni wewnętrznie, zaniedbując przedewszystkiem solidarność organizacyjną i biernie oddając ten dział gospodarki narodowej w ręce losu i przypadku.

Na szczęście społeczeństwo nasze po wielu przykrych doświadczeniach dochodzi już do przekonania, że jedynie celowa organizacja i praca według dobrze obmyślonych programów przynieść może pożądane wyniki w każdej z dziedzin gospodarczych, gdyż tylko na tej drodze można liczyć na osiągnięcie maksimum produkcji, maksimum samowystarczalności i najwyższych cyfr w ogólnym bilansie.

Do takich dziedzin, może jako jedną z pierwszych, zaliczyć możemy właśnie łowiectwo, którego zasadnicze idee, podczas stopniowej realizacji, przechodziły najrozmaitsze koleje w omawianym okresie lat piętnastu, ostatecznie jednak znalazły poszanowanie i sympatję u wielu jednostek, stojących na wysokich stanowiska państwowych.

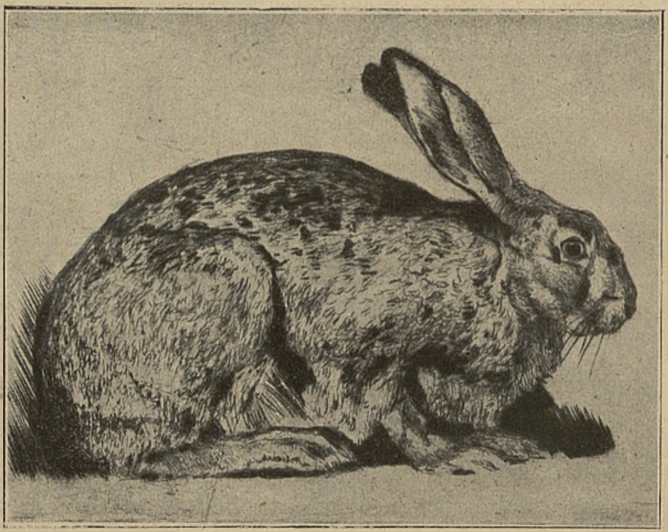
Zarówno ta wielka zdobycz moralna polskiego łowiectwa, jak skutki przeszło dziesięć już lat obowiązującego jednolitego w całym kraju prawa łowieckiego (jeszcze niedość doskonałego i oczekującego na konieczną reformę), przygotowały grunt do zmian organizacyjnych w łonie ideowego zrzeszenia myśliwych, reprezentujących polskie łowiectwo w granicach kraju i nazewnątrz.

Realizacja tej potrzeby rozpoczęła się z chwilą zatwierdzenia przez władze nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego w grudniu 1936 r., poczem minął roczny okres pracy reorganizacyjnej, uwieńczony rezultatem powiększenia szeregów członków Związku więcej niż w dwójnasób (do 1.I.1938 r.) i wyborem naczelnych władz instytucji, dokonanych na najbliższe 3-ch lecie w dniu 16 stycznia r. b. (vide „Łowiec Polski" Nr. 3, str. 58).

Reorganizacja Związku nie została jeszcze zakończona, dziś jednak już można stwierdzić, że świetność imienia polskiego łowiectwa i dalszych rezultatów jego poczynań leży już tylko w rękach nas samych. Do wywalczonych dotychczas zdobyczy muszą przyjść dalsze, a dzisiejsze dobrowolne zrzeszanie się myśliwych, w ramach nowego statutu Związku, musi wydać jeszcze znacznie dalej idące owoce, osiągane dzięki właściwemu zrozumieniu przez ogół społeczności łowieckiej potrzeby, znaczenia i powagi takiego zrzeszenia, a z tem coraz głębiej otwierających się horyzontów pracy nad zapewnieniem łowiectwu polskiemu prawdziwej świetności we wszystkich działach kulturalnych i gospodarczych.

Sukces na wystawie berlińskiej był nagrodą za pracę hodowlaną, za umiłowanie współczesnych idei łowieckich, za wysiłki tych, którzy przodują uświadomionym myśliwym, ale jednocześnie stał się w oczach świata sukcesem całego polskiego łowiectwa, a to musi obowiązywać na przyszłość.

I to jest w naszym bilansie pozycją do wpisania, a od nas zależy, czy będzie można o niej wyrazić się, iż została wpisana złotemi głoskami zwycięstwa.



Z suchorytu J. Kirilenki. (Do sprawozdania z wystawy grafiki myśliwskiej na str. 94).

Bo dziś, gdyby zszeregować te zdobycze, które są już naszym udziałem, od uratowania wielu gatunków zwierzyny od zupełnej zagłady, poprzez wytknięcie najważniejszych postulatów w dziedzinie prawa i etyki łowieckiej, powiększenie ilościowe zwierzostanów, skuteczną obronę wielu słusznych praw myśliwych, wreszcie poprzez wywołanie zwrotu w opinji ogólno społecznej pod względem ustosunkowania się tej opinji do istotnych wartości moralnych i gospodarczych łowiectwa — aż do zwycięstwa na międzynarodowem forum na berlińskiej wystawie — to jeszcze każdy mógłby nam wytknąć i zarzucić, że brak w tym bilansie, w jego aktywach, wartości najbardziej kapitalnej: poczucia siły zrzeszenia i solidar-

ności myśliwych takiej, jakiej wymagają interesy i dobro sprawy.

Tę lukę pozostaje nam szybko wypełnić, wpisując jak najwyższą cyfrę jednostek dobrowolnie zrzeszonych, cyfrę taką przynajmniej, aby nie usłyszeć nigdy z ust obcych, że w Polsce jest jeszcze stosunkowo mało polujących, bo cóż znaczy 50.000 na 34 miljony, ale jeszcze mniej — myśliwych...

W razie przejścia noweli do ustawy łowieckiej jeszcze w bieżącym roku, a z nią razem przymusu należenia do Związku dla wszystkich polujących, ta całkowita cyfra (50.000) już za rok zapełni wprawdzie w bilansie lukę, o której mówię, ale tylko.... atramentem w księdze buchalteryjnej.

Byłaby to niepowetowana szkoda, gdyby na uroczystość jubileuszu Polskiego Związku Łowieckiego z okazji piętnastu lat istnienia tej organizacji pod różnemi, wciąż doskonalącemi się postaciami, na sztandarze jego zbrakło złotych głosek zwycięstwa idei życia organizacyjnego wśród większości myśliwych polskich nad niedojrzałością społeczną, sobkostwem, a nawet szkodnictwem dziś jeszcze większości „dzikich", maszerujących samopas, każdy w swoją stronę.

Przed zestawieniem ostatecznego bilansu na lipiec bieżącego roku jest już niewiele czasu, ale powinno go wystarczyć tym, którzy się podjęli pracy organizacyjnej na terenie całego Państwa, a których wysiłek jest dziś najpotrzebniejszy poto, by najbliższych sobie towarzyszy polowań przekształcić w pełnowartościowych żołnierzy idei.

Praca to odpowiedzialna, w pewnych wypadkach może wymagająca czasu i poświęcenia, jednak praca to zaszczytna, wdzięczna, a przedewszystkiem wykonalna, gdyż tych żołnierzy idei łowiectwa nie trzeba szukać ani tworzyć, lecz... obudzić śpiących.

Że nie puste to są słowa, niech pomyślą ci, którzy tę pracę wykonać mają, o tem, iż w każdym z nas, który już zamłodu uczuwa dreszcz rozkoszy, wsłuchując się w poszum tajemniczej kniei, tyle cudownych przeżyć obiecującej, mieszka tradycja świetności łowieckiej, bije serdecznem tętnem krwi pasja łowiecka.

Rok temu było mnóstwo pesymistów, którzy nie wróżyli wielkich sukcesów z realizowania nowego statutu Związku. Ja ośmieliłem się wtedy twierdzić— a nawet uczyniłem kilka zakładów — że rok 1937 zakończy się już poważnemi wynikami.

Uważam, że te zakłady wygrałem, ale cieszę się głównie z tego, że mój optymizm był w danym wypadku całkowicie usprawiedliwiony.

To mnie i dziś nastraja w tym samym duchu, to też pozwalam sobie twierdzić, że, zanim pomyślimy nad tem, by zjechać się na uroczystość piętnastolecia istnienia Związku i nad tem, jak ten moment uświetnić, nie pozostanie w terenie ani jednego myśliwego z krwi i kości, myśliwego uświadomionego społecznie i państwowo, któregoby zbrakło w szeregach Związku.

Wówczas zostanie wypełniona luka w tym bilansie moralnym, o którym mówię, a ta najważniejsza pozycja zapisana zostanie złotemi głoskami na sztandarze polskiego łowiectwa, trzepoczącym nad kniejami i niwami ku jego chwale.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

O D Y N I E C

Kroczy poprzez puszcze pewny swojej siły,
pruje pulchne zaspy szczeciniastem cielskiem...
Gęste stropy puszczy nad nim się schyliły,
czule go witają szumem przyjacielskim.

„Bywaj nam, Usmolu, mrocznych kniej ozdobo —
w groźne szable zbrojny, bywaj nam rycerzu!
Każdy stwór pokornie chyli się przed Tobą —
żaden śmiałek hardy z Tobą się nie zmierzy!

W naszym cieniu wszędzie masz obfite śpichrze,
tutaj najpewniejszy czeka cię przybytek.
Przed przebiegłym wrogiem, co twój spokój wichrzy,
w nieprzebytym gąszczu dosyć znajdziesz skrytek!

W kniej rodzimych głębi trzymaj się, Usmolu,
buchtuj na zacisznych błotach i polanach...
Niechaj cię nie kusi ziemniaczane pole,
co przynęca smakiem płodów zakazanych.

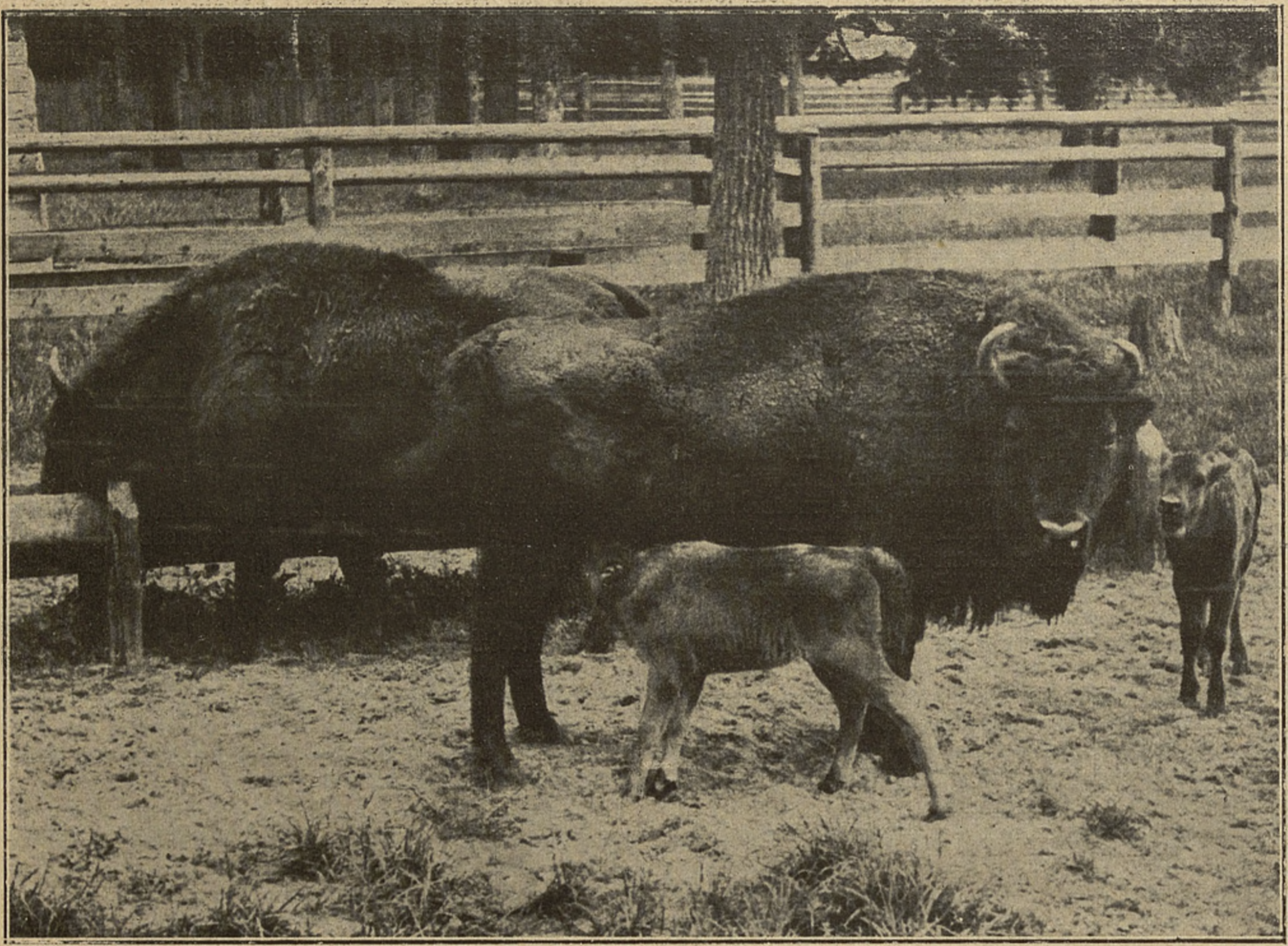
Tam, jak ptak upiorny, krąży cień człowieka
i złowrogo zionie ogniem niszczycielskim.
Śmierć tam bezlitosna, śmierć podstępna czeka,
co się wnet upora z twem mocarnem cielskiem!"

Stary dzik pogwarów Matki Puszczy słucha,
zlekka gwizd unosi, wietrzy i przystaje...
Zaspy, niby zwały łabędziego puchu,
swym całunem kryją leśnych dróg rozstaje.

Nic na pustych polach dzisiaj go nie nęci —
tylko cień człowieka krąży tam złowrogi.
Niemilknącym szeptem w dziczej tkwią pamięci
Opiekunki Puszczy rady i przestrogi.

Kroczy znów odyniec przez gęstwinę zwartą,
pruje pulchne zaspy szczeciniastem cielskiem.
Skraj puszczański, pełniąc swoją wieczną wartę,
wita go miłośnie szumem przyjacielskim.

W. L. von FALKENAU.



Rodzina. Fot. W. Wysocki.

ŻUBR PADŁ

Król puszczy padł!
Król puszczy padł!
Jeszcze przed chwilą jego racic trzask
Wstrząsał puszczą, głuszył ludzi wrzask,
A oto legł — zmógł go kuli cios,
Bo tak chciał los, bo tak chciał los!
Żubr padł, żubr padł!

Tym pięknym sygnałem myśliwskim rozpoczyna p. Benzel-Kobior, dyrektor zwierzyńca księstwa Pszczyńskiego, swoje sprawozdanie z odstrzału najstarszego żubra w Polsce, słynnego Wodana *). Wodan liczył około 35 lat wieku (w księdze rodowodowej Międzynarodowego T-wa Ochrony Żubra podano r. 1917 jako rok urodzenia Wodana), stracił już od szeregu lat zdolność rozpłodową, a obecność jego stała się niebezpieczną dla stada z tego powodu, że wprowadzała we wściekłość jego następcę, byka-siedmiolatka, który w okresie rui, nie mogąc dosięgnąć Wodana, usuwającego się już od walki, rzucał się na inne byki. Jeszcze w 1933 r. nowy reproduktor spowodował śmierć obiecującego dwulatka, podniecony bliską obecnością Wodana.

Pozatem odstrzał starego byka stawał się wskazany jeszcze z tego powodu, że w ogromnym obszarze zwierzyńca pszczyńskiego, liczącym 10.000 ha, żubr padły mógł być długi czas nieodszukany, a skóra, czaszka i rogi stracone z powodu zniszczenia przez drapieżniki i warunki atmosferyczne.

Kiedy przeto konieczność odstrzału została przez osobną komisję ustalona i pozwolenie władz na to uzyskano, trzeba się było zatrzymać na wyborze właściwej broni i rodzaju pocisku, aby śmierć nastąpiła natychmiast, bez męczarni zwierzęcia. P. Benzel-Kobior, któremu książe von Pless zlecił dokonanie odstrzału, zatrzymał się na wypróbowanym sztucerze o kuli półpłaszczowej średnicy 7 mm, a jako miejsce ulokowania kuli wybrał serce. Odstrzału dokonano w dn. 14 września 1937 r. Po strzale, danym z odległości 40 m. od strony lewej, byk wyraźnie się załamał, rozstawił szeroko tylne biegi, stał znieruchomiały około 30 sekund, poczem zachwiał się i padł bokiem w stronę strzału. Po kilku wierzgnięciach Wodan przestał żyć. Od chwili strzału do śmierci upłynęło 2 minuty. Zebrani gajowi odegrali na rogach sygnał myśliwski: „Żubr padł!"

Po zdjęciu skóry stwierdzono, że kula przebiła żebro, rozerwała górną część serca, przeszła przez prawe płuco i utknęła w skórze od strony przeciwnej. Pomiary wykazały: wysokość żubra 1.98 m., długość od końca nosa do nasady ogona 2.60 m., wagę — około 600 kg.

Historja Wodana znana jest bliżej dopiero od chwili, kiedy po zamęcie, wywołanym trzema kolejnemi powstaniami śląskiemi, w zwierzyńcu pszczyńskim ostały się przed kłusownikami tylko 3 żubry. Wszystkie te zwierzęta miały ślady od kul, ale dopiero teraz po ubiciu Wodana stwierdzono, że miał on strzaskaną lewą kość miednicową i uszkodzoną lewą goleń, które z czasem się zrosły. Tylko szczęśli-

*) „Deutsche Jagd" Nr. 41/1938.

wy traf sprawił, że wszystkie 3 żubry, w tem jedna stara, bo 22-letnia, krowa, nietylko utrzymały się przy życiu, ale nawet dały potomstwo, które liczy dziś w Pszczynie 14 sztuk. Ciekawa jest okoliczność, że odstrzelona u Wodana część kości ogonowej przekształciła się w masę rogową, dającą coroczny przyrost, wzorem tego, jak to ma miejsce na rogach czołowych.

W r. 1933 w okresie rui stary Wodan został po raz pierwszy odpędzony od stada przez młodszego i silniejszego byka. Stary samiec wziął to tak bardzo do serca, że nietylko oddalił się od stada, ale wydostał się z ogrodzenia, wyważając rogami bramę, i został zauważony przez włościan wsi Suszec w odległości 20 km. Zaalarmowana straż leśna i zwierzyńcowa zaczęła zapędzać byka do ogrodzenia, ale że przed zapadnięciem nocy nie udało się tego uskutecznić, obstawiono go strażą, która przez rozpalenie ognisk miała żubra w miejscu zatrzymać. W nocy przedarł się on jednak przez koło strażnicze, przechodząc, jak to wykazały ślady racic, w odległości 40 m. od płonącego ogniska, i w odległości 1 km. ukrył się w kępie drzewnej. Ponownie zarządzone pędzenie uwieńczone zostało skutkiem pomyślnym i Wodan został znowu wpędzony do ogrodzenia, przebywając nawet nasyp kolejowy, który przecinał drogę do zwierzyńca. W zwierzyńcu Wodan trzymał się jednak już zdala od stada i pędził żywot osamotnionego pojedynka. Kiedy go w listopadzie 1936 r. chciano ruszyć z miejsca, aby zbliżyć do miejsc karmnikowych, rzucił się on na jednego z naganiaczy, który przypłaciłby to życiem, gdyby Wodan nie wpadł do rowu, dając śmiałkowi możność ucieczki.

J. GIEYSZTOR.



Śmierć Wodana (repr. z „Deutsche Jagd").

NIEZAPOMNIANE ŁOWISKO

Próżno stary tęsknie nuci...
Było, przeszło i nie wróci!

Urozmaicony teren łowiska i związana z tem możliwość spotkania różnorodnej zwierzyny posiada dla polującego urok nieprzeparty! Najchętniej też powraca myśliwy, czy to z bronią, czy myślą tylko, do zakątków o zmieniającym się pejzażu, różnorodnej florze i faunie, potęgujących zainteresowania łowieckie, zaostrzających pragnienia czegoś „nieoczekiwanego".

Mieszkając w Rosji centralnej (1895 — 1918), nie mogłem narzekać na brak podobnych terenów i wrażeń, szczególnie jednak upodobałem sobie łowisko pod Iwanowo - Wozniesieńskiem, pomiędzy podmiejską wioską Ignatowo i odległem o 5 wiorst siołem Kruglowo. Tereny te łączyły się z obszarami błot i lasów, które ciągnęły się w kierunku Rostowa — na przestrzeni ok. 70 wiorst — przechodząc miejscami w karłowaty, rzadki sośniak, przypominający tundrę.

W początkach września r. 1910, w godzinach popołudniowych, wybrałem się do ulubionego łowiska z 12-ką na ramieniu, nieodłącznym Mitką Korolowem („on że Gałka") i irlandką Majką. Zmierzając przez wąski pas lasu na t. zw. „Karpow Ług", ruszyłem kota, który padł ku niezadowoleniu Gałki, chętniej noszącego prowianty i flachę, niż zające. Wkrótce ze stadka jarząbków, wystawionego przez Majkę, dostał się jeden do siatki. Z drzewa poderwała się opodal i odleciała głuszyca — owoc zakazany na terenach miejscowego towarzystwa łowieckiego. Na skraju lasu zdobyłem słonkę.

Wyszedłem na „Karpow Ług" — otwarty teren o powierzchni ca 5 wiorst kw. — otoczony gąszczarami i mokradłami wśród lasów mieszanych, wrzynających się w łąki półwysepkami o bujnej przyziemnej i krzaczastej roślinności. Na łąkach, przeciętych rzeczką, nizinki mszarne i wysepki ze sterszącemi gdzieniegdzie brzózkami, kępami świerczyny i jałowca, pokryte trawą, wrzosem, jagodami... Jednem słowem miniaturowe Polesie, okolone miniaturową Białowieżą!

Tu zabiłem derkacza, następnie zaś dubletem: kszyką i dubelta. Spostrzegłszy krążące kulony, ukryłem się w kępie świerków, Gałce zaś zleciłem krążyć z wyżłem i powoli zbliżać się ku mnie. Dzięki tej taktyce wkrótce strąciłem dużego kulona o 20-to cm. dziobie („kronsznep"). Niebawem musiałem śpieszyć ku Majce, która — sądząc z nawoływań i gestykulacji Gałki — znalazła coś osobliwego. Z gęstego krzaka porwał się cietrzew („czernysz") i spadł po drugim strzale. Zdobycz okazała się rzadko spotykanym skrzekotem (mieszaniec cietrzewia z głuszcem), znacznie większym od przeciętnego cietrzewia i o słabiej zarysowanej lirze ogona.

Wieczór się zbliżał, więc z psem u nogi skierowałem się wprost ku kotlinom po wypalonem torfowisku, na kaczki; rwały się daleko, spadły 3 sztuki: cyranka, krzyżówka i płaskonos („szirokonoska").

Teraz dopiero, podczas krótkiego wypoczynku, uprzytomniłem sobie, że pomiędzy upolowaną zwierzyną niema sztuk jednakowych. Gałka był tem tak przejęty, że wątpiąc, bym mógł jeszcze zdobyć nową sztukę, odmienną od upolowanych, błagał wprost, abym odwołał Majkę, gdy stanęła raptem opodal oczekującego na nas wehikułu. Rzecz prosta nie usłuchałem — furknął i spadł po strzale bekasik (ficlaus, po rosyjsku „garsznep"), oczekiwany zwykle dopiero po większych przymrozkach. Zdobyłem zatem 12 sztuk różnorodnej zwierzyny, polując niespełna 2 godziny! Najwięcej cieszyło mnie zdobycie w tak krótkim czasie wszystkich gatunków spotykanych tam długodziobów: kulona, słonki, dubelta, kszyka i „garsznepa".

W ciągu lat kilkunastu doświadczyłem na opisanych terenach wielu innych jeszcze niezapomnianych wrażeń.

Zimą stadka śnieżno-białych pardw urozmaicały mile udatne zwykle polowania z naganką na bielaki i z fladrami na lisy, których zdobyłem niemało. Kiedyś, polując sam na nartach, z dwoma gończemi, przy

głębokich śniegach, zabiłem 7 bielaków w niespełna $1^{1}/_{2}$ godziny.

Na łosie i wilki jeździliśmy zwykle o 50 — 60 wiorst dalej, minęły bowiem — niedawne stosunkowo — czasy, gdy polowano na nie w odległości kilku wiorst od miasta.

Wiosną, stojąc na ciągu słonek, wysadziłem raz — raczej dla żartu — krykuchę na przydrożną kałużę, w rezultacie zaś zabiłem dwie słonki i 4 kaczory różnych gatunków (cyranka, rożeniec, krakwa).

Wprost romantyczne bywały noce wiosenne, podczas zaprawiania gończych, spędzane u ogniska, przy akompanjamencie nieprawdopodobnie wielkiej ilości słowików.



Strzelec Korolow vel „Gałka". 2 smycze kostromskich gończych ze szczeniętami: Wisłą, Wołgą, Niemnem i Dunajem. Wyżeł „Mars". Iwanowo-Wozniesieńsk (gub. włodzimierska) r. 1906.

Cietrzewie tokowały przeważnie pojedyńczo, więc budek nie stawiano, przygodnie tylko strzelałem koguty na wabia. Głuszce obierały tokowiska w dalszych, więcej zwartych lasach.

Latem zato spotykało się dość często stadka głuszców, rzadziej pardw. Cietrzewi było dużo, polowanie w gąszczach wymagało jednak strzałów błyskawicznych: naogół marnowało się sporo prochu, tem silniej zato odczuwało się błogie odprężenie, gdy po strzale „na szumok" (na niewidzianego) pochwyciło ucho odgłos uderzającego o gałęzie lub ziemię ptaka.

W lipcu i sierpniu r. 1905, podczas ostrego strajku, gdy ogólnie zaprzestano polować, pozwalałem sobie niemal codziennie wyjeżdżać o brzasku do Ignatowa lub Kruglowa. Wracałem z dobrze wypełnioną siatka, przed emocjonującemi rannemi „wizytami" delegatów robotniczych.

W kilka lat później na wspomnianych wyżej kotlinach — kaczem Eldorado — doznali myśliwi w dniu otwarcia polowania („Pietrow dień") kompletnego zawodu, przestali też tam zaglądać. Tymczasem w połowie sierpnia, gdy chciałem, w braku dubeltów, odegrać się na kszykach w pobliżu tych dołów, zerwało się conajmniej 200 kaczek, umożliwiając mi wziąć dubletem: bekasa i krzyżówkę. Niestety, do rozpoczęcia zajęć fabrycznych pozostawało zaledwie tyle czasu, aby obejść grząski teren, gdzie zapadły kaczki i, stojąc na znanem miejscu przelotu, wystrzelać w kilka minut wszystkie naboje. Kaczki niepłoszone podrywały się blisko przed Gałką, kroczącym bez broni naprzełaj. Podnieśliśmy bez pomocy Majki, ignorującej tę zwierzynę, 25 kaczek — przeważnie krakw — kilka sztuk pozatem odnaleźli wieczorem znajomi myśliwi.

Na pardwy jeżdżono do odległego o 50 wiorst Butowa, gdzie dobry strzelec mógł łatwo w ciągu dnia zabić kilkadziesiąt sztuk. Ja polowałem zwykle — bez większych kosztów i straty czasu — kilka wiorst za Kruglowem, gdzie niesamowite wiosenne koncerty tokujących pardw zapewniały niezłe rezultaty podczas polowań z wyżłem.

Któregoś roku, podczas kilkagodzinnych poszukiwań, pardw tam nie znalazłem, dopiero pod wieczór w niewielkiej (ok. $1^{1}/_{2}$ dziesięciny) kępie, pełnej zarosłych chwastem dołów, zarzuconej gałęźmi i zwalonemi drzewami („burełom"), zaczęły raz po raz rwać się pojedynki i bukiety. Nietylko ja, lecz i Gałka, i wyżeł, stropiliśmy się nie na żarty: łopotem, gargotaniem, trzaskiem gałęzi pod nogami, wreszcie strzałami, których z Browninga śrutowego padło około 70-ciu w ciągu kilkunastu minut. Z tej masy pardw (conajmniej 150 sztuk), spędzonych z żerowisk przez tłumy zbieraczy jagód, zabiłem zaledwie 15, co — poza zdenerwowaniem — tłomaczę: uprzedniem zmęczeniem, niepewnem oparciem nóg i utrudnionem strzelaniem w tym iście szatańskim zakamarku!

Słabiej wypadały, szczególnie w latach mokrych, jesienne polowania z gończemi, które na zalanych nizinach często traciły ślad; niemniej udało mi się kiedyś z pod gończych dać dubleta do lisów i bezpośrednio potem zabić słonkę; równocześnie zastrzelono opodal 3-go lisa.

W połowie września r. 1916, w pobliżu Ignatowa, okazał mi Św. Hubert szczególne względy: „Alik" — syn Majki — twardo stanął na łące, tuż pod lasem; zdawało mi się, że widzę przyczajonego w niskiej trawie dubelta, tymczasem porwała się z głośnem kwokaniem stara cieciorka, po chwili zaś para murzynów, które strąciłem 2-ma strzałami; pośpiesznie nabijałem broń, gdy zerwały się znowu dwie młódki; 2-gi dublet; równocześnie prawie posłyszałem za sobą łopot, odwróciłem się, nabiłem jedną tylko lufę i w lesie już, przeszło o 70 kroków, dosięgnąłem 5-go cietrzewia *).

Wspomniany epizod trwał zaledwie kilka sekund, zaspokoił jednak tyle atawistycznych żądz, schlebił tylu ambicjom łowieckim, że teraz nawet — gdy minęło upojenie, a po tylu latach przychodzi skrucha — nie mogę ówczesnego zapamiętania się uznać za... „okrucieństwo".

WŁODZIMIERZ PŁUŻAŃSKI

*) Podobne wydarzenie miałem tegoż roku w wołokołamskim powiecie gub. moskiewskiej, gdzie w obecności p. dyr. A. Szeunerta, właściciela łowiska (Iwanowskoje), oszczędziłem tylko matkę, zastrzeliłem zaś (12-ka bez eżektorów), nie schodząc z miejsca, 7 sztuk młodych cietrzewi. (Przyp. aut.).

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na I półrocze, I kwartał, lub na miesiąc luty.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**

Z DOTYCHCZASOWYCH BADAŃ NAD ORJENTACJĄ PTAKÓW

Jednem ze zjawisk, najbardziej podziw wzbudzających dla nas przyrodników, stanowią niewątpliwie ciągi ptasie. Zwłaszcza masowy przelot ptaków zwraca na siebie naszą uwagę i zastanawiamy się, czem kierują się te zwierzęta w czasie ciągów, nie znając nawet w niektórych przypadkach celu ich podróży.

Oddawna zajmowano się tym problemem, jednak doświadczalnie zostało to niedawno zbadane, kiedy zaczęto wywozić ptaki podczas okresu lęgowego na różne odległości od miejsca gnieżdżenia się i obserwowano, czy i w jakim czasie dany ptak wraca. Jednym z pierwszych badaczy jest Loos (1907), który przeprowadził doświadczenia nad jaskółkami brzegówkami i dymówkami, oraz nad szpakami, wywożąc je na różne odległości. Na większą skalę zaczęli się zajmować tym problemem Wodzicki i Wojtusiak (1934) w Polsce, transportując jaskółki systematycznie, począwszy od mniejszych do coraz większych odległości. Okazało się przytem, że prędkość powrotu stoi w prostym stosunku do odległości, z której dany ptak był wypuszczony.

Każdemu myśliwemu, który polował na słonki, wiadomo w jak znacznej mierze ciąg ptaków zależny jest od pogody. Złe warunki atmosferyczne utrudniają ciąg, a nawet mogą go wstrzymać w zupełności; podczas mgły ptaki tylko niechętnie zrywają się do lotu, pomimo że posiadają drobne kuleczki ciał lipoidalnych czyli tłuszczowatych, na czopkach, w siatkówce oka, które to kuleczki umożliwiają im pobieranie wrażeń optycznych infraczerwonych fal świetlnych.

Gdy spojrzymy na mapę, przedstawiającą nam szlaki, któremi ptaki ciągną do krajów cieplejszych, to na pierwszy rzut oka widzimy, że szlaki te omijają starannie większe pasma gór, tylko w niektórych przypadkach ptaki lecą przełęczami i dolinami. Aby więc badać zdolność orjentacji w górach, wyżej wymienieni autorowie przeprowadzili analogiczne doświadczenia, wypuszczając jaskółki ze środka pasma wysokogórskiego. Okazało się, że warunki górskie wpływały ujemnie na szybkość lotu, niemniej ptaki powracały do gniazda rodzinnego. Można więc przypuszczać, że góry nie wpływają ujemnie na orjentację u ptaków, lecz że medjum odrębne od normalnego powoduje pewne trudności w locie.

Aby zebrać więcej materjału i rozszerzyć obszar dotychczasowych wyników, i w ub. roku przeprowadziliśmy dalsze doświadczenia nad zjawiskami orjentacji u ptaków. Kiedy dotychczasowe badania przeprowadzone były wyłącznie na mniejszych ptakach, jak jaskółki lub szpaki, obecnie użyliśmy do naszych eksperymentów bocianów, więc ptaki, których biologja, szlaki i wędrówki stosunkowo dobrze są nam znane. Ptaki te tembardziej nadają się do tego rodzaju doświadczeń, gdyż chodziło w tym przypadku o potwierdzenie pewnej teorji, wysuniętej przez Wodzickiego na podstawie ostatnich doświadczeń, mianowicie czy ptak wywieziony na pewną odległość, wypuszczony na wolność, szuka dopiero kierunku do swego gniazda, czy zmysł orjentacyjny wskazuje mu po kilku okrążeniach już właściwy kierunek. Wielkość tych ptaków pozwoliła na dokładne i długie obserwacje zachowania się ich po wypuszczeniu.

Jako miejsce doświadczeń, wybraliśmy z p. Wł. Puchalskim, z którym te doświadczenia przeprowadziliśmy, Butyny koło Lwowa, jako jedno z miejsc najbardziej zamieszkałych przez bociany. Wioska ta posiada do 100 zamieszkałych gniazd bocianich. Zdarzają się tam domy z 2-ma gniazdami, a na stodole obok gnieździ się trzecia para. Rozległe łąki, mokradła i lasy zapewniają bocianom byt prawie że bez troski, tembardziej, że ludność ochrania te ptaki, przypisując im moc chronienia chat od ognia. Wskutek tego zwierzęta te są mało płochliwe i nie zwracają uwagi na człowieka.

Złapanie bocianów na początku przedstawiało się niekorzystnie: próbowaliśmy w nocy podejść do gniazda, jednak t. zw. białe noce były tak jasne, że bociany spostrzegały nas i odlatywały. Zastosowaliśmy wtenczas drugą metodę, znacznie skuteczniejszą.



Schwytany bocian zostaje zaobrączkowany i oznaczony jaskrawemi barwami. Fot. Wł. Puchalski.

W czasie, kiedy bocian żerował na łąkach, założyliśmy pętlę naokoło gniazda i, gdy wracał karmić młode, chwytaliśmy go przez zaciągnięcie pętli. Po schwytaniu bociany umieściliśmy w dużym kurniku, gdzie ze stoicznym spokojem oczekiwały swego dalszego losu. W żadnym przypadku nie dobijały się do ścian albo okien, jak to czynią inne ptaki, rozbijając sobie głowy o szyby. Jako pokarm, służyły żaby, na początku jednak bociany nie chciały przyjąć ich, gdyż żaby udawały martwe. Jeżeli jednak poruszaliśmy żabę zapomocą sznurka przywiązanego do nogi, odrazu zostawała ona złapana i połknięta. Dalszy fakt świadczy o znacznej inteligencji tego ptaka — mianowicie po kilku dniach połów bocianów stawał się coraz trudniejszy, gdyż poznawały one i rozróżniały nas doskonale od ludności wiejskiej, uciekając zdaleka, nie siadywały przez dłuższy czas na gniazdach, lecz nakarmiwszy pisklęta natychmiast odlatywały. Mieliśmy wrażenie, jak gdyby ptaki poprostu porozumiewały się między sobą.

Jeszcze krótko należy wspomnieć o zachowaniu się ludności wobec naszych zamiarów chwytania bocianów. Jak już wspomniałem, bocian jest tam bardzo ochraniany. Można sobie pomyśleć, jakie mieliśmy trudności z wytłomaczeniem chłopom konieczności przeprowadzenia doświadczeń. Nic nie pomogło: że to

dla nauki, że ministerstwo popiera nasze doświadczenia; ale kiedy powiedzieliśmy im, że bociany będą pomalowane kolorowo na niebiesko i czerwono, że polecą samolotem aż w odległe kraje i po kilku dniach wrócą, wtenczas zastanowili się i po długich naradach zgodzili się na te eksperymenty, udzielając nam nawet pomocy. Nie trzeba wspominać jaka radość zapanowała, gdy pierwszy bocian wrócił szczęśliwie z dalekiej podróży do swego gniazda.



Bociany przywiezione samolotem „LOTU" do Warszawy zostają wypuszczone na przedmieściu Warszawy. Fot. Wł. Puchalski

Dzięki uprzejmości Polskich Linij Lotniczych „Lot" mieliśmy sposobność wywozić bociany do Warszawy, Bukaresztu oraz do Lyddy (Palestyna). Doświadczenia nasze dzieliły się na dwie części: krótko- i długodystansowe. W pierwszej serji bociany zostały wypuszczone z 50 i 100 km. od miejsca zagnieżdżenia. We wszystkich przypadkach bociany powróciły, przyczem przeciętna szybkość powrotu wynosiła około 10 km/godz. Przy następnych doświadczeniach bociany zostały wypuszczone z Warszawy — 306 km, Bukaresztu — 660 km i z Lyddy — 2260 km. Ilość ptaków, które powróciły, jest wprost zdumiewająca, bo wynosiła mianowicie 75⁰/₀, zwłaszcza jeżeli chodzi o ptaki z Lyddy. Należy jeszcze podkreślić, że transport ptaków odbył się mniej więcej miesiąc przed ich odlotem, więc w czasie, kiedy intensywność pędu do gniazda i do młodych nie jest w tak wybitnym stopniu wykształcona, jak wiosną. Jak już wspomniałem, czyniliśmy specjalne obserwacje, dotyczące kierunku odlotu bocianów. Okazało się, że bociany, które nie bardzo dobrze czuły się w ciasnych pomieszczeniach, zaraz po wypuszczeniu, na miejscu zaczęły wygładzać upierzenie i przygotowywać się starannie do lotu. Widocznie odpowiednie ułożenie upierzenia jest koniecznie dla tego rodzaju ptaka, jak bocian, którego rodzaj lotu jest lotem szybowcowym, w czasie którego korzysta on z prądów termicznych, podobnie jak człowiek w lotach na szybowcach. Wreszcie bociany wzbijały się w górę, okrążając kilkakrotnie naokoło miejsca wypuszczenia, poczem we wszystkich wypadkach obrały właściwy kierunek, t. zn. oddaliły się w kierunku prostym do miejsca zagnieżdżenia się. Jest rzeczą naturalną, że lot dalszy nie odbywał się po tej linji prostej, lecz odbiegał o kilka lub nawet kilkadziesiąt km od niej, spowodowany różnemi przeszkodami, jak góry, morza, pustynie i td.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zostało to przypuszczenie potwierdzone przez jednego z czołowych ornitologów niemieckich R u p p e l l a (1937), który przy swych doświadczeniach znalazł kilkakrotnie zabitego podczas powrotu ptaka doświadczalnego właśnie niedaleko od tej linji prostej, łączącej miejsce wypuszczenia z gniazdem danego ptaka. I w naszym przypadku zaobserwowano jednego z bukareszteńskich bocianów, żerującego na łąkach koło Stanisławowa. Wracając do swego gniazda, wybrał drogę odpowiednią dla siebie pod względem ekologicznym.

Zjawiska orjentacji u ptaków są w różny sposób interpretowane. Jedni twierdzą, że ptak tylko przypadkiem trafia do domu, szukając tak długo, aż znajdzie znane mu okolice. Ornitologowie opierają przytem swoją hypotezę przedewszystkiem na doświadczeniach, czynionych na gołębiach pocztowych. Wiadomo bowiem, że gołębie posiadają wybitną pamięć wzrokową, pamiętając okolice, przez które chociażby raz przelatywały. Należy jednak zaznaczyć istnienie możliwości, że zmysł orjentacji gołębi wskutek domestykacji uległ zasadniczym zmianom. Doświadczenia więc przeprowadzone na tym ostatnim materjale służyć mogą tylko z pewnem zastrzeżeniem do wyjaśnienia zagadnienia. Według innej znowu teorji ptaki obierają fale magnetyczne i elektro-magnetyczne. Wiemy, że fale te opasują całą kulę ziemską, że istnieją różnice w nasileniu, które wykazują nasze aparaty rejestracyjne. Można więc przypuszczać, że i zwierzęta, a specjalnie ptaki, posiadają odpowiedni narząd odbiorczy, co do którego siedziby, wzgl. budowy albo funkcji i precyzji, narazie jeszcze nic pewnego nie wiemy. Być może, że tak zwane ucho wewnętrzne, w którem mieści się narząd równowagi w postaci niewielkich ciałek, zwanych statolitami, jest siedliskiem również i zmysłu pozwalającego na orjentację. Możemy przyjąć, że narząd ten odczuwa różnicę intensywności pola magnetycznego i ptak kieruje się właśnie temi danemi. Jedyne doświadczenia w tym kierunku, przeprowadzone kilkadziesiąt lat temu, dały niewystarczające wyniki i dopiero teraz znowu pracuje się nad tem zagadnieniem. Pierwsze metodyczne doświadczenia w Polsce będą przeprowadzone wiosną r. b.



Na lotnisku w Lyddzie (Palestyna): po 24 godzinnej podróży bociany przeciągają skrzydła i czyszczą pióra na piaskach pustyni. Fot. Steinmetz.

Z wyżej przedstawionych doświadczeń zeszłorocznych i z analogicznych doświadczeń poprzednich lat widzimy, że ptakom należy przypisać właściwy zmysł orjentacyjny, pozwalający zwierzętom obierać właściwy kierunek lotu powrotnego. Przypuszczenie to wymaga oczywiście jeszcze gruntownego opracowania i danych o różnych ptakach, ciągnących i nieciągnących.

MAG. H. LICHE



Z tegorocznego polowania w Dawidgródczyźnie: Grupa myśliwych pośrodku długiego „płota" pokotowego. Piąty od lewej gospodarz, Ordynat Karol Ks. Radziwiłł. (Vide „Kronika" na str. 98).

WŁOŚNICA – CHOROBA LUDZI I ZWIERZĄT

Sto lat temu pewien student medycyny odkrył w mięśniach sekcjonowanego przez siebie Włocha maleńkie, ledwie widoczne twory, które po szczegółowem zbadaniu okazały się pasorzytami. Pasorzyty te ze względu na charakterystyczną postać nazwano trychinami, czyli włośniami krętemi. Od tego przypadkowego odkrycia wiele lat upłynęło, zanim stwierdzono, że włośnie przenoszą się na ludzi za pośrednictwem zakażonego mięsa świni domowej i jej krewniaczki, świni dzikiej. Pasorzyty te zostały zawleczone do Europy z Chin wraz ze szczurami okrętowemi, wśród których są niesłychanie silnie rozpowszechnione. Ponieważ świnie pożerają często schwytane przez siebie w chlewach szczury i zarażają się od nich, przechodząc schorzenie bez wyraźnych objawów, mogą przeto przekazać je następnemu spożywcy — człowiekowi, dla którego włośnica jest chorobą niezwykle niebezpieczną.

Cały cykl życiowy włośni zamyka się w organizmie jednego tylko żywiciela, w przeciwieństwie do innych pasorzytów wewnętrznych, mających jeszcze jednego lub więcej żywicieli pośrednich, bez których pośrednictwa nie może dojść do zamknięcia cyklu rozwojowego i młodociana forma nie może dojrzeć. Zjedzone wraz z mięsem włośnie dostają się do żołądka nowego żywiciela, gdzie otoczka ich rozpuszcza się w soku żołądkowym, a uwolnione w ten sposób pasorzyty wędrują do jelit, gdzie po 2 — 3 dniach wyrastają w dojrzałe płciowo robaki — samice i samce. Żywot samców jest krótki, giną bowiem po spełnieniu swego biologicznego przeznaczenia, natomiast samice pozostają w jelitach jeszcze przez około 5 — 7 tygodni, wydając w tym czasie na świat olbrzymią ilość, bo do 10.000 młodych.

Młode włośnie przebijają ściany jelit i dostają się do obiegu krwi, a z jego prądem do mięśni całego ciała, powodując ogromnie bolesne schorzenia i zatrucia własnemi wydzielinami, co może doprowadzić do śmierci pacjenta. W mięśniach, które są kresem wędrówki włośni, zostają one otorbione przez broniący się organizm, naturalnie tylko wtedy, jeśli ten wytrzyma niepożądaną wizytę intruzów. Choroba bowiem może osiągnąć śmiertelne nasilenie po spożyciu małego nawet kawałka zakażonego mięsa, gdy, jak stwierdzono, przy najsilniejszem zakażeniu świni, w jednym tylko gramie mięsa było 8.000 włośni, a w całem umięśnieniu badanej świni jeden z cierpliwych i pilnych naukowców obliczył ilość włośni na 158 miljonów. Można więc sobie wyobrazić, ile rozmnożyłoby się z nich po dojściu do dojrzałości w jelitach nowych żywicieli, gdyby to mięso zostało przez nich w stanie niewyjałowionym spożyte. A niebezpieczeństwo po spożyciu mięsa zakażonego włośniami jest bardzo wielkie, tembardziej, że nawet gotowanie trudno je niszczy, gdyż giną one dopiero po $2^1/_2$ godzinach w temperaturze gotowania. Także wędzenie i solenie mięsa zakażonego prawie że nie wpływa ujemnie na żywotność włośni, które, otaczając się wapiennemi torebkami, mogą w nich żyć życiem utajonem całemi latami. Już w pierwszym tygodniu po spożyciu mięsa zakażonego włośniami pojawiają się u człowieka mdłości, wymioty, brak ape-

tytu, biegunka itp. objawy chorobowe, które nieraz występują w tak wysokim stopniu, że może nastąpić śmierć wśród znamion, przypominających tyfus lub cholerę. Później, o ile nie przyszło do śmiertelnego zejścia, zauważa się ogólne osłabienie, bóle w okolicy twarzy, utrudnione oddychanie, gwałtowne poty, wysypkę, a dołączyć się może nawet zapalenie płuc i nerek.



Tropiciel Jurkiewicz z Bronnej Góry. Fot. W. Makowski.

Z tych to powodów służba sanitarna wydała włośnicy bezwzględną walkę, na szczególnie zaś ważnym odcinku zapobiegania chorobie i niedopuszczania zakażonego mięsa do obrotu oddaje nieocenione usługi społeczeństwu służba lekarsko-weterynaryjna, sprawiając nadzór nad zdrowotnością mięsa, artykułu pierwszej potrzeby, u źródła jego produkcji — w rzeźni.

W Polsce i prawie we wszystkich krajach Europy istnieje ustawowy przymus badania mięsa wieprzowego na włośnie, a w Wielkopolsce i na Pomorzu przymusowi temu podlega i mięso z upolowanych dzików. Lekarze weterynarji, pełniący swe czynności w rzeźniach, uzbrojeni w mikroskopy, badają w ciężkich warunkach pracy rzeźnianej skrupulatnie każdą sztukę świni, przechodzącą przez granicę rzeźni do rąk spożywców. Dzięki swej cichej i mało znanej pracy, wzbudzają oni u szerokich rzesz spożywców zaufanie do spożywanego mięsa, oznakowanego ich pieczęcią podłużną, której słowa „wolne od włośni", wykluczają pod gwarancją obecność tych pasorzytów w mięsie. Czasem jednak — mimo ostrej kontroli — wybucha włośnica, a to wskutek spożycia mięsa niebadanego, pochodzącego z uboju pokątnego, lub dla własnego użytku, względnie przez niezbadane mięso dziczyzny, szczególnie we wschodnich połaciach Polski.

W wypadku zakażenia się włośniami pozostaje jedynie skuteczna broń, którą jest jak najszybsze rozpoznanie choroby przed rozmnożeniem pasorzytów w zaatakowanym organizmie ludzkim. Badania, dokonane w ostatnich latach we Lwowskiej Uczelni Weterynaryjnej przez Prof. Trawińskiego, Doc. dr. Maternowską i ich uczniów, pozwoliły na wynalezienie szybkiego sposobu rozpoznania wczesnego stadjum włośnicy, a zatem na zwalczenie niebezpiecznej choroby w zarodku, kiedy nieocenioną pomoc mogą oddać zwykłe środki przeciwrobacze i przeczyszczające. Sposób ten pozwala już w dziesiątym dniu po zakażeniu, a więc wtedy, gdy młode włośnie rozpoczynają swą wędrówkę, rozpoznać chorobę przy pomocy widocznej reakcji chorego organizmu na podskórny zastrzyk białka tych samych pasorzytów. Cel ten również osiągnąć można przez badanie w szklanej próbówce surowicy krwi chorego, która z zawiesiną białka pasorzytów daje odczyn strącania w postaci krążka białkowego na granicy zetknięcia się tych dwóch płynów.

Te odkrycia polskiej uczelni weterynaryjnej zostały potwierdzone przez badania kontrolne wielu uczonych zagranicznych i przyniosły niemałą sławę polskiej nauce. Tak więc w rzeźniach i pracowniach uczonych wre praca i walka z nieprzyjaciółmi zdrowia ludzkiego, którą prowadzi medycyna weterynaryjna — sioostrzyca medycyny ludzkiej. Niechaj więc wszyscy, którzy spożywają mięso wieprzowe lub dziczyzny wiedzą o tej gałęzi pracy lekarzy wet., mającej na celu ochronę życia i zdrowia całego społeczeństwa.

Celem zabezpieczenia się przed ewentualnem niebezpieczeństwem zarażenia się włośniami należy spożywać mięso pochodzące z pewnego źródła, które przeszło przez badanie lekarsko - weterynaryjne w rzeźniach, co uwidocznione jest pieczątkami lekarza, odciśniętemi na mięsie. Natomiast pod żadnym warunkiem nie nabywać mięsa niezbadanego, pochodzącego z pokątnego uboju, które wprawdzie jest zwykle tańsze, jednak może być przyczyną zakażenia się włośniami i wywołać wiele innych szkodliwych następstw dla zdrowia ludzkiego. Również myśliwi powinni poddawać badaniu wszystkie upolowane dziki, gdyż badanie, którego koszt jest minimalny — uchronić może spożywców dziczyzny od przykrych niespodzianek.

DR. STANISŁAW ŚWIĘCH
lek. wet.



Paśnik. Fot. Inż. E. Woynicki.



Z Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie. Przy pomiarach. Fot. Inż. dypl. Hinderks, Berlin.

JESZCZE Z MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY ŁOWIECKIEJ W BERLINIE

Sukces polski, osiągnięty na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie, wywołał entuzjastyczne wzmianki nietylko w całej prasie łowieckiej — ale i codziennej. Nie będę więc opisywał całej wystawy, ani uzyskanych nagród, bo dzisiaj są to sprawy znane.

Jeżeli mimo to zabieram głos, to w tym celu, by z kolegami-myśliwymi podzielić się spostrzeżeniami, poczynionemi w dziale broni i amunicji na tej wystawie, ponieważ dział ten nie został w artykułach, które dotychczas się ukazały, dosyć uwypuklony.

Zapewne myśliwych polskich zainteresują dwa wynalazki w dziedzinie broni myśliwskiej. Pokazano mi, jako nowość w dziedzinie broni, rodzaj trójlufek z czwartą lufą małokalibrową. Lufkę tę umieszcza się pod szyną, względnie poniżej luf śrutowych ponad normalną lufą sztucerową. Broń jest lżejsza od normalnej trójlufki, ponieważ miejsce metalu spajającego wypełnia lufka. Na oko broń ta wygląda wspaniale, czy jednak przy tak skomplikowanym mechanizmie wytrzyma egzamin w praktyce — okaże się to w przyszłości.

Dalszą nowością jest lufka do nabojów małokalibrowych, którą można bez specjalnych urządzeń wkładać do zwyczajnej śrutówki i w niej automatycznie przymocować. Na szynie umieszcza się mały wizjer do podnoszenia, albo lunetkę z boku szyny. Zastosowanie takiej lufki małokalibrowej ułatwiałoby racjonalny trening strzelca ze względu na zmniejszone koszty treningu.

Największą jednak satysfakcję sprawiła mi wizyta w dziale amunicji. Spędziłem tam dłuższy czas w rozmowach z przedstawicielami najpoważniejszych firm niemieckich, którzy pokazali mi przeróżne przekroje nabojów kulowych i śrutowych, oraz różne rodzaje prochów.

W toku rozmowy temat zszedł na prochy polskie. Tutaj dowiedziałem się, co muszę z dumą podkreślić, że proch „*Sokół*", wyrobu *Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach*, jest na rynku niemieckim dobrze znany i wg. oceny niemieckich fachowców nietylko dorównuje najlepszym prochom niemieckim, ale może nawet je przewyższa ze względu na stosowanie lepszego surowca.

Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach należy się uznanie za wysiłki w kierunku udoskonalenia produkcji prochów myśliwskich, które zdobyły sobie pełne zaufanie myśliwych polskich i, jak się okazuje, bardzo dodatnią ocenę zagranicą.

*

Mieliśmy dotychczas: doskonałe już prochy polskie, wytwarzaliśmy dobry śrut, łuski, przybitki — elaboracja nabojów stoi na wysokim poziomie, produkując pełnowartościowe ładunki śrutowe — brakło tylko odpowiedniej spłonki krajowego wyrobu.

O ile mi wiadomo i jak o tem w „Łowcu Polskim" pisał inż. W. Maryański, jedna z krajowych firm — Lignoza — uzyskała ostatecznie w fabrykacji spłonek dobre wyniki, poparte wszechstronnemi doświadczeniami, należy więc spodziewać się, że w niedługim czasie będziemi mieli pełnowartościową amunicję myśliwską, wyrobu całkowicie krajowego, przez co uniezależnimy się w zupełności w tej dziedzinie od zagranicy.

M. METZIG
Nadleśniczy.

WYSTAWA GRAFIKI MYŚLIWSKIEJ

Po świetnych sukcesach polskiego łowiectwa na międzynarodowym terenie w Berlinie otworzyły się dlań szeroko bramy z perspektywą pięknej przyszłości. Wyczuwają to dokładnie prawidłowi myśliwi, trzymający uważnie rękę na pulsie wzrastającego tętna życia łowieckiego. Słowa te piszę pod wrażeniem otwarcia w dniu 23 stycznia br. ogólnopolskiej wystawy grafiki myśliwskiej w Poznaniu.

Dwa charakterystyczne momenty należy tu z miejsca podkreślić: 1) dotąd takiej wystawy nie mieliśmy, a więc obecna, otwarta w Muzeum Wielkopolskim, jest *pierwszą* ogólnopolską wystawą tego rodzaju, 2) inicjatywa i organizacja tej wystawy nie wyszła zgoła od instytucji lub stowarzyszenia łowieckiego, jakby sądzić należało; podzięka w tym wypadku należy się Muzeum Wielkopolskiemu i Towarzystwu Miłośników Grafiki w Poznaniu, które wyręczyły świat łowiecki, jednak przy jego wydatnej współpracy.



„Hucuł-Kłusownik", drzeworyt Wł. Żurawskiego.

Celem wystawy, która potrwa 3 miesiące, jest zainteresowanie publiczności tą zaniedbaną i dotąd odłogiem leżącą dziedziną, spowodowanie, by w Polsce rozwijała się sztuka graficzna o motywach myśliwskich, wartościowa, swoista, odpowiadająca pięknej tradycji szlachetnego łowiectwa polskiego.

Wystawa zawiera ponad trzysta eksponatów, z tego 207 skatalogowanych, należących do 54 właścicieli, wśród których wybitnie reprezentowana jest Państwowa Szkoła Sztuk Zdobniczych w Poznaniu. Biorąc pod uwagę technikę wykonania, mamy tu: drzeworyty zwykłe, ręcznie kolorowane, jedno- dwu- i trójbarwne, litografie zwykłe, ręcznie kolorowane, wielobarwne i tuszem, akwaforty, suchoryty, linoryty ręcznie kolorowane, jedno- dwu- i trójbarwne, akwatinty barwne, akwatinty z akwafortami, akwaforty z akwatintami oraz miedzioryty.

Na pierwszy plan, poza starymi renomowanymi nazwiskami, jak Fałat, Sichulski, Skoczylas i Wyczółkowski, wybijają się wśród młodych: Chrostowski - Ostoja Stanisław, Kirilenko Jarosław, Fijałkowska Zofia Elżbieta, Żurawski Władysław, Zgaiński Stanisław, Bielecki Władysław i inni. Niektóre z tych nazwisk znane są czytelnikom „Łowca Polskiego". Artyści ci poruszają tematy wybitnie łowieckie oraz związane z łowiectwem, jak las, zwierzęta domowe (pies, kot, konie) i egzotyczne (tygrys, papugi, flamingi, lamy).

Na szczególną uwagę zasługuje mapa na dykcie, rozmiarów 2 × 2 m, przedstawiająca rozsiedlenie zwierzyny w Polsce; wykonali ją Stanisław Kuglin i Medard Świtek, absolwenci Państw. Szkoły Sztuk Zdobniczych; ten sam temat przedstawiała mapa, będąca na wystawie łowieckiej w Berlinie, jednak tę „poznańską" uważam za lepszą, a to choćby z uwagi na doskonałą jej przejrzystość. Kłopocą się młodzi wykonawcy, co uczynią z tą mapą po wystawie. W s k a z a n y m b y ł o b y n a b y c i e j e j p r z e z P o l s k i Z w i ą z e k Ł o w i e c k i, względnie przez Naczelną Dyrekcję Lasów Państwowych. Mapa jest wielobarwna, składana, wygodna do transportu.

Jeśli chodzi o wyszczególnienie poruszanych przez wystawców tematów, to triumfuje tu patron łowów św. Hubert (a nie „Hubert", jak omyłkowo zapewne podano w katalogu), zajmuje bowiem 17 pozycji, nie mówiąc o samym jeleniu św. Huberta, który to motyw występuje np. w ekslibrisach i innych. Boginię łowów Dianę spotykamy 5 razy. Poza tym jest tu żubr, niedźwiedź, dzik, łoś, jeleń, daniel, sarna, wilk, ryś, lis, zając, wiewiórka, głuszec, cietrzew, kaczka, bażant, bocian, puchacz itp.

Pod względem wykonania mamy tu rzeczy doskonałe, mniej dobre i przeciętne. Dlaczego? Nikt nie poruszył tematu tak wdzięcznego, jak naganka, kuropatwy. Dlaczego? Odpowiedź na te dwa pytania jest prosta: wysoki procent artystów, to nie myśliwi, to ludzie, którzy nigdy na polowaniu nie byli, a do przyrody czują wielki pociąg.

I oto tutaj przed myśliwymi otwiera się wdzięczne zadanie. Zapraszać tych artystów na polowanie, niekoniecznie zaraz z dubeltówką w garści. Niech się zaprawiają w szeregach naganiaczy, dać im kij lub kołatkę do ręki; niechaj przy trzaskającym mrozie zasiądą wokół kotła, dymiącego swoistym zapachem bigosu, niechaj widzą pokot zwierzyny, usłyszą sygnały, niechaj chodzą z blokiem rysunkowym za myśliwymi, niechaj będą niemymi widzami na wieczornych ciągach i zapadach kaczek, a wtedy raźnie, celowo i wiernie ruszy z miejsca malarstwo i grafika łowiecka. Inaczej nie zrobimy z nich Fałatów ani Liljeforsów.

Słuszne są słowa dr. A. Brosiga zwrócone w katalogu do myśliwych:

„Naprawdę zazdrościć Wam można wrażeń, jakie Wam daje przyroda całą garścią. Piękno kniej i pól, piękno krajobrazu polskiego w Waszych sercach utrwalone, staje się Waszą zdobyczą, może nawet cenniejszą od zabitego zwierzęcia. Zostawiamy na uboczu momenty metafizyczne, religijne, które z pewnością mieszczą się w zadumie myśliwego na widok pięknej przyrody i stworzeń Bożych, chodzi o zjawiska same, które myśliwy przeżywa tak intensywnie, wprost oczarowany ich cudem".

Dajmy szamocącym się z życiem, a rwącym się do lotu młodym artystom możność osiągnięcia tych przeżyć. Otaczajmy się orszakiem, tą sympatyczną świtą ludzi z pędzlem, kredką, piórkiem, dłutem czy apa-

ratem fotograficznym w ręku, a dźwigniemy sztukę łowiecką wzwyż, a tym samym i Polskę.

Słyszałem o różnych premiach, widziałem wiele nagród za osiągnięcia i zwycięstwa w rozmaitych dziedzinach gospodarki czy sztuki łowieckiej. Poznań wpadł na pomysł nie praktykowany dotąd, który oby znalazł setki naśladowców. Na nagrody dla wyróżnionych uczestników na wystawie grafiki myśliwskiej otrzymano od kilku osób kwotę dwa tysiące złotych, w czym mieści się już dar Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych w kwocie 500 zł; resztę złożył Poznań. Poza gorącym podkreśleniem tej ofiarności, rzecz pójdzie normalnym trybem: kupią nagrody i rozdadzą. Jeden je zatrzyma jako cenną pamiątkę, drugi będzie musiał, choć z żalem, spieniężyć ją. Lecz na tym nie koniec z nagrodami. Wobec licznej i doborowej publiczności, która przybyła na otwarcie wystawy, jeden z mówców wymienił nazwiska myśliwych, którzy jako nagrodę dają odznaczonym na wystawie cztero- trzy- i dwutygodniowy pobyt u siebie, w czasie którego młodzi artyści będą mieli możność zetknąć się z przyrodą, poznać zwyczaje zwierzyny łownej, rodzaje polowań itp.

„Brawo!" zawołać i przyklasnąć musi cały kulturalny świat myśliwski. „Vivant sequentes!". Niechaj ten piękny, szlachetny i na dłuższą metę zakrojony czyn kolegów naszych wielkopolskich będzie erą nowego ruchu, kiedy to zamożniejsi myśliwi z całej Polski dobijać się będą odtąd o możność goszczenia u siebie ludzi, którzy swój talent rozwijać pragną w kierunku takiego, czy innego rodzaju sztuki łowieckiej.

Sprawa ta jest bardzo pilna, poważna i doniosła; należałoby ją ująć w ramy sprężystej organizacji, co sądzę, byłoby wdzięcznym zadaniem Polskiego Związku Łowieckiego.

W tym miejscu mała dygresja w imię sprawiedliwości. Prawdziwą puszczę i polowania na łosie widziałem u Ks. Karola Radziwiłła, którego gorącej gościny nigdy nie zapomnę. Gdy wróciłem do Warszawy, zaprosiła mnie pewnego dnia do siebie znana powieściopisarka p. Marta H. Szpyrkówna. W rozmowie prosiła, abym jej umożliwił poznanie puszczy i polowania. Napisałem o tym do Ks. Karola Radziwiłła. Na to otrzymałem odpowiedź: „Przyjeżdżaj Pan razem ze Szpyrkówną". Spakowaliśmy manatki i pojechali. I tej gościny nikt z pamięci nie wykreśli. Kiedy w analogicznej sprawie zwrócił się do mnie znany i ceniony dziś artysta malarz, P. Aleksander Jakimczuk, przedstawiłem go Ks. Karolowi i pojechał w puszczę dawidgródecką. Oto oderwany przykład, a jeśli nie jeden, nie osamotniony — prosimy: łamy „Łowca Polskiego" otwarte.



Rys. St. Zgaiński.



Rys. M. Łomnicka.

A teraz zanotujmy inne chwalebne działania na rzecz sztuki łowieckiej. Jeszcze przed rokiem otrzymałem wycinek z codziennej prasy, donoszący o zamierzonym zorganizowaniu wystawy polskiej grafiki myśliwskiej, która obecnie stała się rzeczywistością.

Od szeregu więc miesięcy przygotowywał się Poznań do tej wystawy. Zakłady Graficzne F. K. Ziółkowski i Sp. w Poznaniu, ul. G. Wilda 122 — 24 ogłosiły w 1937 r. konkurs na wykonanie zaproszeń na polowania. Zrobił się ruch wśród młodych rysowników i akwarelistów, i sypnęły się wzory zaproszeń o miłych motywach i ciekawym ujęciu. Plon tego konkursu znalazł się (poza katalogiem) na wystawie, w oszklonej gablocie. Firma ma zamiar wypuścić w świat te zaproszenia. Niech jej św. Hubert pomoże! Pozbędziemy się wreszcie obcych naleciałości. Posiądziemy produkt ojczysty.



Rys. St. Zgaiński.
ex libris wolny.



Rys. St. Zgaiński.

Poświęćmy teraz słów parę tym rzeczom, które są na wystawie, a których z tych czy innych powodów nie objął katalog. Należą tu przedewszystkim dwie wspaniałe karykatury, wykonane przez p. Adama Bilskiego węglem, a podkolorowane akwarelą. Przedstawiają owe dwie znane na gruncie poznańskim osobistości, dwóch prezesów: pułk. rez. Konstantego Chłapowskiego, prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych i dra Stanisława Celichowskiego, prezesa Łowca Wielkopolskiego.

Dwa małe witraże myśliwskie projektował p. Stanisław Przespolewski, uczeń Państw. Szkoły Zdobniczej.

Jakkolwiek jesteśmy na wystawie grafiki, to jednak ciepły przytułek w dużej oszklonej gablocie znalazła też plastyka łowiecka. Mamy tu rzeźby w drzewie, odlewy w brązie i gipsie, przedmioty kute, trawione i „trybowane". Są to prace Jana Żoka, absolwenta Państw. Szk. Zdobniczej, mocno modernistyczne figury Feliksa Szmyta z Poznania i innych. Osobno stoi większa rzeźba Wawrzyńca, przedstawiająca dzika.

Wcale pokaźnie jest tu reprezentowany dział myśliwskich ekslibrisów. Istne cacka Chrostowskiego (Warszawa, ul. Służewska 7), Zgaińskiego (Szamotuły, Lipowa 6) i innych.

Jak przystało na Towarzystwo Miłośników Grafiki, trzy druki, które pojawiły się z okazji otwarcia wystawy, są pełne estetyki, wypieszczone. Do tych druków należą: a) „zaproszenie" na otwarcie wystawy, które wyszło z artystycznej Drukarni Rolniczej, pozostającej pod dyrekcją p. Kuglina; b) plakat, przedstawiający las, nad nim ciągnące sznurem ptactwo, a na przedzie rysunku myśliwy nad powalonym łosiem, grający na krętym rogu swoje zwycięstwo; druk Chojnackiego; c) katalog, druk również Chojnackiego, z ilustracjami, cena 1 zł. Wydawnictwo w całym tego słowa znaczeniu piękne i wartościowe, okładka kolorowa, twarda i z rysunkiem, papier droższy, na którym ryciny wyszły doskonale, czcionki duże, układ przejrzysty; treść orientuje dokładnie jaką techniką jest eksponat wykonany

: jaka jego cena; dokładne adresy artystów dają możność nawiązania z nimi łączności. Autorem tego miłego druku jest dr. Alfred Brosig, prezes Tow. Miłośników Grafiki w Poznaniu.

Na jeden interesujący moment pragnę tu zwrócić specjalną uwagę: koszt wydania katalogu pokryły ogłoszenia. Zrozumiałą i oczywistą jest rzeczą, że firmy, dające swe ogłoszenia i płacące za nie, stawiają takie lub inne swoje warunki. W tym wypadku rzecz ma się całkiem odwrotnie, warunek stawiał dr. Brosig, który oświadczył, że przyjmie tylko takie ogłoszenie, które będzie poparte rysunkiem o charakterze myśliwskim. I oto zaczęły się poszukiwania artystów i odpowiednich tematów. Zainteresowanie rosło. Znaleźli się artyści, którzy dobrali umiejętnie tematy łowieckie do takich dalekich napozór od łowiectwa ogłoszeń, jak baterie Centra, mydło Styx, samochód Mercedes, Zakład Ubezpieczeń i inne. Ot, i za te prace popłynęło nieco grosza do pustych kieszeni. Oto piękna propaganda na rzecz sztuki łowieckiej, dokonana na skromnym odcinku katalogu wystawowego. Zaiste inwencja godna pochwały i jak najszerszego naśladownictwa. Tyle tych katalogów drukujemy, a także pisma, kalendarze...

Pamiętajmy o narybku.

Cieszą nas arcydzieła Fałata, Wierusz - Kowalskiego, Brandta, Chełmońskiego czy Kossaków. Do tych wspaniałych starych obrazów modlimy się w naszym pacierzu myśliwskim, lecz nie czas stać nam w miejscu, gdy i inni raźno podążają naprzód. Oby poznańska wystawa naszej grafiki myśliwskiej, której organizatorom winien jest polski świat myśliwski głęboką i gorącą wdzięczność, stała się zwrotnym momentem w dziejach sztuki łowieckiej, oby była zaczątkiem artystycznych prac młodego pokolenia, które przy poparciu starszej generacji myśliwych może i musi przysporzyć Polsce w niedalekiej przyszłości wiele blasku i chwały.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

P. S.

Jak mię poinformowano, wystawa ta, pozostająca pod wysokim protektoratem Gen. Broni K. Sosnkowskiego, nie zakończy swego żywota po 3 miesiącach. Po zamknięciu jej w Poznaniu ma objeżdżać większe ośrodki w kraju. Należy dołożyć wszelkich starań, aby ta potrzebna okrężna propaganda sztuki łowieckiej doszła do skutku. Ponadto dowiaduję się, że Poznań przygotowuje się do wystawy fotografii myśliwskiej, która ma być otwartą w 1939 roku oraz do drugiej ogólno-polskiej wystawy polskiej grafiki myśliwskiej, rozszerzonej grafiką polskiego lasu, która ma mieć miejsce w 1940 roku.

J. Wł. K.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

KOMUNIKAT.

Zgodnie z uchwałą, powziętą w dniu 15 stycznia r. b. na posiedzeniu plenarnem Zarządu Związku na prawach Naczelnej Rady Łowieckiej, ogłaszamy, że cena przepisowej członkowskiej odznaki związkowej została zniżona do kwoty Zł. 2.50. Odznaki można nabywać wyłącznie w biurach Wojewódzkich Rad Łowieckich.

KOMITET WYKONAWCZY.

OKÓLNIKI PANÓW WOJEWODÓW BIAŁOSTOCKIEGO I ŁÓDZKIEGO

Jako piąty z kolei, Pan Wojewoda Białostocki wydał w dniu 31 grudnia r. ub. okólnik do P. P. Starostów z zaleceniem wykorzystania współpracy Łowczych i Podłowczych Powiatowych w sprawach dotyczących łowiectwa, w jak najszerszym zakresie.

Zalecenie to, wydane na podstawie okólnego pisma Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 27 sierpnia 1936 r. o współdziałaniu władz administracyjnych z organami Polskiego Związku Łowieckiego, wymienia przedewszystkiem sprawę korzystania z opinji Łowczych i Podłowczych w zakresie: 1) wydawania i odnawiania kart łowieckich; 2) powoływania tych mandatarjuszy Związku na biegłych w sprawach adm.-karnych, wynikających z naruszenia prawa łowieckiego; 3) wskazuje na wykorzystanie wójtów i sołtysów, będących w kontakcie z Łowczymi i Podłowczymi, w celach zwalczania rabunkowej gospodarki w obwodach łowieckich i kłusownictwa.

Pan Wojewoda Łódzki, który taki okólnik wydał już wcześniej, w połowie grudnia ub. r. wystosował okólnik do PP. Starostów w sprawie handlu zwierzyną bitą i kłusownictwa, wychodząc z założenia, popartego faktami życiowemi, że około 75 proc. zwierzyny w zorganizowanym handlu jest nielegalnego pochodzenia.

Pan Wojewoda poleca zorganizowanie przeciwakcji, mającej charakter prewencyjny i uzupełniającej dotychczas stosowane zabiegi, podejmowane w celu zwalczania kłusownictwa, nielegalnego posiadania broni palnej, paserstwa i t. p. oraz celem ochrony zwierzostanu.

Akcja ta ma sprowadzić się do niepominięcia żadnej okazji skontrolowania pochodzenia i wyglądu zwierzyny bitej, przenoszonej, przewożonej i wystawionej na sprzedaż. Zwierzynę upolowaną bez użycia broni palnej należy bezwarunkowo kwestjonować i z reguły wdrażać formalne postępowanie, zmierzające do ustalenia jej pochodzenia.



Na marginesie refleksyj o wystawie berlińskiej

Niema co — zeszłoroczna wystawa w Berlinie stała się dla polskiego łowiectwa datą epokową. Jesteśmy już w połowie lutego 1938, a o zeszłorocznym listopadzie mówi się nieustannie, powraca się do naszego niezaprzeczenie wielkiego sukcesu, odniesionego przed oczami całego świata. I nieraz jeszcze przez długie miesiące, a może lata, autorzy łowieccy będą powracali do tej daty, będą ją obierali za punkt wyjścia swych refleksyj i wniosków, będą czerpali przykłady i porównania.

W nowym miesięczniku łowieckim pod nazwą „Myśliwy", wychodzącym w Poznaniu pod redakcją dr. inż. L. Ossowskiego ukazał się również szereg artykułów sprawozdawczych i... refleksyjnych.

Z tych ostatnich aż dwa zamieszczono w Nr. 2 z r. b., „Pokłosie z wystawy w Berlinie" — prof. dra E. Schechtla i „Krytyka krytyk" — L. Ossowskiego. Wiele w nich mieści się trafnych uwag, lecz wiele jest tam również zbytecznego żalu, a przedewszystkiem nieuzasadnionej goryczy (w pierwszym artykule), oraz błędnej argumentacji (w drugim).

*

Prof. Schechtel ubolewa, że Polska nie wystąpiła jeszcze wspanialej, nie pokazała poza trofeami prawie... nic, bo brakło pełnowartościowego działu naukowego, historycznego, a także działu sztuki. Istotnie to wielka szkoda. Ale nie można za wszystko czynić odpowiedzialnym Komitet organizacyjny, jednocześnie twierdząc, że nawet to, co było udane, wystąpiło samorodnie.

Widać, że Szanowny Autor nie zadał sobie trudu wgłębienia się w ten ogrom pracy organizacyjnej i przeciwności, jakie przezwyciężył w granicach ludzkiej możliwości Komitet — i to w ciągu pół roku! Bowiem tak późno nadeszła ostateczna decyzja władz państwowych, od których cała impreza zależała. A przecież był już moment, że Polski Związek Łowiecki wahał się poważnie, czy organizować pawilon, czy nie jest już wogóle zapóźno. Może w tem wyjaśnieniu Prof. Schechtel znajdzie odpowiedź na wiele swych zarzutów.

Ale to nie wszystko. W refleksjach swych Szanowny Autor chce zasługę za to co było (a więc jednak jest zasługa!) rozdrobnić pomiędzy wszystkie zrzeszenia łowieckie, pracujące przez wiele dziesiątków lat, i hodowców, a odjąć ją „młodemu" Związkowi.

Hm... Zapewne, Związek sam zwierzyny nie hodował, nawet nie rozporządzał żadnemi terenami—zasługa hodowców jest przeto niewątpliwa i powszechna. Ale któż to sprawił właśnie, że łowiectwo polskie mogło wogóle wystąpić na międzynarodowem forum, kto zdobył dlań oblicze i powagę, kto — pytam się — wytworzył odpowiednią atmosferę wewnętrzną, konsolidującą samych myśliwych polskich i wszystkie od dziesiątków lat pracujące ideowo stowarzyszenia? A może prof. Schechtel nie wie również i tego, że warunkiem udziału Polski w berlińskiej wystawie był wysunięty przez władze państwowe bezwarunkowy udział Związku w organizowaniu naszego działu?

Więc uważam, że p. Redaktor Garczyński ani trochę nie odbiegł od istotnej, rzeczywistej prawdy, pisząc, że zasługę za zwycięstwo polskiego łowiectwa w Berlinie należy przypisać Polskiemu Związkowi Łowieckiemu.

I sądzę jeszcze, że właśnie z takiego postawienia sprawy, ze świadomości naszej wspólnej siły organizacyjnej, ześrodkowanej w Związku, każdy myśliwy, będący tego Związku członkiem, może być tylko dumny.

*

Pan Redaktor Leon Ossowski skrytykował sprawozdania i krytyki różnych autorów. Nie będę się wgłębiał w słuszność tej ostatniej krytyki w odniesieniu do poszczególnych autorów, ale uderzyła mnie pewna niekonsekwencja argumentacji. Gdy p. Ossowski odpiera zarzut o stłoczeniu trofeów przez montujących polski dział, tłomaczy to — i słusznie — szczupłością metrażu, ale dodaje: „Ale czyż podobnem było nie wystawiać wieńca o 180 pkt? Czy wieniec ten na to przyjechał do Berlina, by kurzył się w skrzyni nierozpakowany?" Słusznie. Ciekawe, cenne trofea nie na to były posłane na wystawę, nie na to je Komitet wyciągał z mieszkań ich właścicieli, żeby ich nie pokazać. Stałaby się w każdym wypadku krzywda temu, który swą kolekcję czy swój okaz oddał w zaufaniu Komitetowi, spokojny o jego losy.

Natomiast w innym wypadku: „Nie mogę się zgodzić z twierdzeniem, że bataljony winny były stać razem..." Zresztą: „łańcuszkowa forma ustawienia przyczyniła się wielce do dekoracji".



Po wypakowaniu polskiej skrzyni z pięcioma skórami rysi.
Fot. Inż. dypl. Hinderks, Berlin.

Jak to pogodzić?

Przedewszystkiem właściciel kolekcji bataljonów, jedynej w swoim rodzaju na całej wystawie, nie na to ją posyłał do Berlina, by „dekorowała" polską halę. Był to eksponat trofealny jak inne, choć inne bardziej mogą być przez innych cenione. Ale wszakże nietrudno sobie wyobrazić przez wiele lat i przy nakładzie jakich wysiłków właściciel tę swoją kolekcję kompletował, dobierając, eliminując mniej ciekawe, charakteryczne, czy malownicze okazy i zastępując je nowemi, aby znów po roku czy po dwóch latach nową przeprowadzić selekcję. Tak czy inaczej, zarówno z punktu widzenia właściciela tej kolekcji, jak z punktu widzenia zwiedzającego, tylko całość występująca razem, w bezpośredniem pobliżu jednego ptaka od drugiego, mogła wywrzeć właściwy efekt przez możność porównania gry i odcieni barw, wielkości kryz i „uszek", i wzbudzać wrażenie podziwu, kto wie. może być że nawet u wielu—zachwytu. Zresztą idąc dalej w tej samej płaszczyźnie rozumowania, co p. Ossowski, moglibyśmy piękne rosochy łosia czy wieniec jelenia podzielić na połowy i udekorować temi połówkami np. jakiś wykres, wiszący na ścianie, a zewnętrznie nie przedstawiający nic efektownego, nawet szpecący zdaleka najbliższe fragmenty obok?

A czyż to, że zbiór głów wilczych Maurycego hr. Potockiego rozłożony był po hali, nie stanowiąc kolekcyjnej całości, nie zmniejszyło efektu, a nawet wartości tej kolekcji, jako takiej?

Dlaczegóż odznak łowieckich kpt. Kobylańskiego nie rozrzucono po różnych ławach, choćby między bardzo rozciągniętym łańcuszkiem umieszczonemi bataljonami.

Dziś nikomu z tego nic nie przyjdzie, czy p. Ossowski, czy krytycy jego poglądu mają naprawdę słuszność, ale — mojem zdaniem — gdy się czegoś nie dopatrzyło, o czemś zapomniało, gdy coś chociażby uszło z zasięgu naszej rutyny — zawsze lepiej jest to wyznać otwarcie, niż naiwnością argumentów wywoływać nieuniknione polemiki.

WŁ. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND

Nr. 37/1937, str. 541. A. Usinger *„Skóry drapieżników i obchodzenie się z niemi.* — Myśliwy, umiejący ściągnąć skórę np. z zająca, nie powinien się łudzić, że potrafi dać sobie również radę ze skórą drapieżnika. Już ta okoliczność, że w tym ostatnim wypadku muszą pozostać przy skórze zarówno ogon, jak i odnóża do pazurów włącznie, sprawia, że praca jest tu o wiele więcej skomplikowana i wymaga dużej wprawy. Zwłaszcza dobre spreparowanie łap, wymagające usunięcia wszystkich kostek palcowych i łączących je tkanek, a zachowania pazurów, połączone jest z czynnością drobiazgową i staranną, a jednak

meodzowną, jeżeli się chce zapobiedz gniciu i późniejszemu psuciu się skóry. Niemniej uwagi wymaga usunięcie z ogona kości ogonowej do ostatniego jej dzwona oraz oddzielenie od czaszki warg, powiek i nosa bez uszkodzenia skóry. Po udanem zdjęciu skóry następuje równie ważna czynność — postępowanie z nią w celu zabezpieczenia przed zepsuciem. Dla wykonania tego należy mieć w pogotowiu deski rozmaitych wymiarów, na które naciąga się zdjętą skórę włosem do spodu. Przez otwór nosowy przesuwa się gwóźdź, który wbija się w kant deski, poczem skórę naciąga się możliwie starannie, aby uniknąć fałd i zmarszczek, bacząc jednak, aby nie uszkodzić włosia. Tak naciągniętą skórę umocowuje się sztyftami, aby się nie zbiegła przy wysychaniu. Tylne kończyny przymocowuje się również do deski, natomiast przednie kończyny oraz ogon lepiej jest wyłożyć od strony wewnętrznej, mięśniowej, pasemkami papieru gazetowego, łatwo przystającemi do wilgotnej i lepkiej skóry. Tak rozpiętą skórę poddaje się następnie starannemu oczyszczeniu od resztek tłuszczu i mięsa, używając do tego nie noża, który może skórę uszkodzić, ale twardej deszczułki. Miejsca mocno zakrwawione wysusza się i oczyszcza trocinami. Równocześnie usuwa się chrząstki uszne, co nie jest czynnością łatwą, ale co zapobiega łysieniu skóry na uszach.

Deska ze skórą nie może pozostawać w pobliżu pieca. Po upływie doby należy skórę zdjąć z deski i przewrócić ją na stronę włosia, poddając go starannemu oczyszczeniu opiłkami i szczotką. Zwłaszcza miejsca zakrwawione powinny być zmywane ciepłą wodą i następnie wysuszane trocinami. Większe dziury w skórze, np. od strzału kulowego, należy zacerować ućmi, aby przy dalszej obróbce skóry nie rozszerzały się. Po takiem spreparowaniu skóry naciąga się ją ponownie na deskę, tym razem włosiem do góry, i tu pozostaje ona aż do czasu zupełnego wyschnięcia. Wysuszone skóry zawiesza się na sznurku, przeciągniętym przez nozdrza, w miejscu suchem, w którem trzymać je można spokojnie aż do końca zimy. Dopiero z wiosną trzeba skóry bądź oddać do wyprawy, bądź na sprzedaż.

Nr. 40/1937, str. 660. *Ciąg głodowy 2000 kuropatw.* — W dn. 3 grudnia 1937 r. spadł w okręgu Kłajpedzkim duży śnieg, który zmienił się następnie w deszcz. Nieoczekiwany spadek temperatury poniżej zera sprawił, że zarówno pola, łąki, jak krzewy i drzewa, pokryte zostały skorupą lodu, odcinającą ptactwu dostęp do pożywienia. Skutek tego ujawnił się w dn. 5 grudnia, kiedy w pobliżu latarni morskiej w Windenburgu zaczęły zapadać setkami kuropatwy, uciekające z obszarów zlodowaconych. W dn. 6 grudnia ogólna ilość wygłodzonych zbiegów osiągnęła ogromną cyfrę 2000 sztuk, które literalnie pokryły brzegi zatoki Kurońskiej, nawołując się rozpaczliwie i przenosząc się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pożywienia. Z pomocą doraźną przyszedł dozorca latarni, p. Posingis, który rozsypał centnar żyta i jęczmienia dla kuropatw, dokonując przy sposobności zaobrączkowania 200 sztuk oraz zważenia pewnej ich ilości. Waga niektórych kur wykazała znaczne odstępstwo od normy zwykłej, mianowicie do 300 gr. wobec przeciętnej normy 370 gr. Dalszą akcję ratunkową przejął dzierżawca sąsiednich terenów łowieckich, ofiarowując na ten cel znaczniejsze ilości pośladu. W dn. 9 grudnia część kuropatw odleciała, kierując się na południe poprzez zamarzniętą w tym czasie zatokę, ale jeszcze w dn. 13 grudnia pozostawało na miejscu prawie 1000 kur, które dopiero stopniowo rozleciały się po okolicznych polach i wsiach. Pomimo okazanej pomocy, znaleziono dużo padłych z głodu kuropatw, nieraz całemi stadkami.

J. G.

KRONIKA MYŚLIWSKA

— Dnia 24.1.1938 r. odbyło się w Żołudku u Ludwika Ks. Czetwertyńskiego polowanie w 15 strzelb, na którem zabito 12 dzików, 2 wilków i 1 lisa.

— Dn. 13.I. r. b. w Kuliku u p. Załuskich (woj. lubelskie) w dwóch kotłach i dwóch pędzeniach leśnych zabito 287 zajęcy i 4 lisy. Najwięcej na rozkładzie miał p. Jan Zakrzewski z Maik — 38 sztuk.

— W dniu 22—24.I.1938 r. odbyło się w Ordynacji Dawidgródeckiej Karola Ks. Radziwiłła polowanie. Na pokocie znalazło się 109 dzików, 1 ryś, 4 lisy, 13 kozłów, razem 127 sztuk. W polowaniu wzięli udział obok Księcia Ordynata P.P.: Karol Ender, Stefan Ender, Konrad Niemojewski, Andrzej hr. Potocki, Paweł hr. Potocki, Roger hr. Raczyński, Hieronim ks. Radziwiłł, Janusz Regulski, Jerzy Sękowski, Adolf Steinhagen, Aleksander Steinhagen, Jan hr. Szeptycki, Witold Woyniewicz.

— W maj. Krzesimów (woj. lubelskie) u p. Kazimierza Dreckiego odbyło się polowanie w dniu 13 i 14 stycznia r. b. przy udziale pp.: Maurycego hr. Potockiego, Aleksandra Gerlicza, Jana Koźmiana i Konstantego Komierowskiego (który był obecny tylko drugiego dnia). Wobec fatalnej pogody (deszcz ze śniegiem) drugiego dnia w południe polowanie przerwano. Ubito razem: bażantów-kogutów 364 i zajęcy 244, łącznie 608 sztuk.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, B. Świętorzecki, K. Świderski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał **zł. 6;** za pół roku **zł. 12;** za rok **zł. 24;** miesięcznie **zł. 2.** Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OCENA BRONI MYŚLIWSKIEJ

Stacja Badawcza Polskiego Związku Łowieckiego dla broni i amunicji myśliwskiej i sportowej przystępuje obecnie do oceny broni myśliwskiej dla ogółu myśliwych.

Ocena broni przeprowadzona będzie według zasad ogłoszonych w Nr. 3 „ŁOWCA POLSKIEGO" z roku 1935.

Opłata za wykonane prace została ustalona w następującej wysokości:

Określenie wydajności strzelby przez oznaczenie jej ilości trafień do tarczy stupolowej, pokrycia pól i zagęszczenia dla jednej lufy i jednego dowolnego rodzaju amunicji . . . 6.— zł.
dla dwu luf . . . . 10.— zł.
Dodatkowe oznaczenie siły przebicia przy pomocy kartonów — od jednej lufy . . . 1.50 zł.
Dobranie najlepszego naboju handlowego, zależnie od ilości strzałów, oznaczenie najwyższej odległości dostatecznej wydajności strzału dla jednej lufy i jednego rodzaju amunicji. 4.— zł.
Określenie najwyższego ciśnienia w lufie i szybkości początkowej za jeden strzał 2.— zł.

Broń wraz z dokładnie sprecyzowanemi żądaniami uprasza się nadsyłać pod adresem:

„Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie — Myśliwska Stacja Badawcza"

Zwracamy się z gorącym apelem do dotychczasowych Szanownych Prenumeratorów

o jednanie dla „Łowca Polskiego" nowych, stałych jego czytelników.

Niech każdy w ten sposób wbuduje choć jedną cegiełkę, przyczyniając się do dalszego wzmocnienia gmachu polskiego piśmiennictwa łowieckiego, oddanego na usługi wszystkich zainteresowań naszych myśliwych i pracującego dla rozwoju rodzimego łowiectwa.

Niezależnie od tego prosimy usilnie o możliwie śpieszne, punktualne odnawianie prenumeraty na najbliższy okres czasu: rok, półrocze, kwartał, lub miesiąc następny.

Administracja.

OGŁOSZENIA DROBNE

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Juljanka, st. kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę; (zające, bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Bażantarnika dzielnego fachowca, do samodzielnego prowadzenia bażantarni, energicznego tępiciela drapieżników i kłusownictwa, tylko z pierwszorzędnemi referencjami przyjmę. Zgłoszenia kierować do Redakcji pod Nr. 192.

Bażanty-koguty myśliwskie, srebrne, oraz żywe króliki sprzeda Nadleśnictwo Miłosław.

Gryfony pięciomiesięczne do polowania, po rodzicach premjowanych sprzedam: Piotrowski, Warszawa, Banioska 17, za Belwederem.

Ostatni miot po Trollu (Troll zaginął) od Splendor Niny (Splendor-Bey — Splendor Aria) najwybitniejszy materjał polowy i wystawowy. Zamówienie przyjmuje K. Tarnowski, Góra Zbylitowska, poczta Tarnów.

Puhacza kupię. Zgłoszenia przyjmuje Redakcja „Łowca Polskiego" pod Nr. 192.

Sarna typu karpackiego z Babiej Góry ze szczepu wydającego kozły do 38 kg. (wypatroszone) i rekordowe parostki (vide Łowiec Polski Nr. 870 str. 423), ośmiomiesięczna jest do oddania tylko w dobre ręce do celów hodowlanych. Okaz piękny i zdrowy. Cena z opakowaniem 90 zł. loko kolej Cieszyn. Dr. Falęcki Cieszyn.

Zające żywe w kompletach 1 : 2 lub 1 : 3 z łowisk kresów południowo-wschodnich lub z Wileńszczyzny zakupi Nadleśnictwo Miłosław.